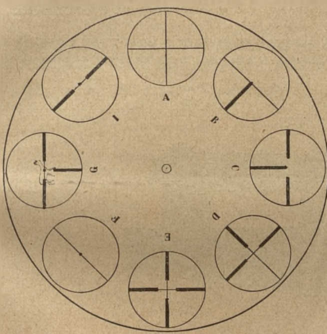
LUNETA NA BRONI MYŚLIWSKIEJ.

Chociaż sama luneta, dzięki zasadzie osi optycznej już stanowi przyrząd celowniczy, konieczne jest zwiększenie dokładności celowania dzięki temu, co nazwiemy muszką lunety.

Jest to bądź krzyż, bądź słupek o ostrem lub płaskiem zakończeniu, bądź to inna kombinacja dwuch drutów, poziomego i pionowego, które służą do ułatwienia umieszczenia celu w tym punkcie pola lunety, który odpowiada środkowi rozrzutu broni na tarczy.

Podajemy poniżej kilka wzorów najbardziej używanych muszek lunety, przyczem wzory te zostały zgrupowane na jednej tarczy, stanowiącej część przyrządu Zeiss'a, który służy do ułatwienia wyboru muszki, drogą celowania przez pseudo-lunetę do drobnego obrazu rogacza lub innej sztuki zwierzyny.



Rysunek 1.

Muszki A i F powinny, na pierwszy rzut oka, zapewniać największą precyzję, ponieważ składają się z bardzo cienkich drutów i można wybrać punkt skrzyżowania (na A) lub małą kropkę po środku drutu (na F) i umieścić ją na zwierzynie z największą dokładnością. Tak jednak nie jest, wiemy dziś dobrze, iż dokładność celowania nie wzrasta w miarę zmniejszenia przyrządów celowniczych, — jest nawet raczej przeciwnie, z powodu zbytniego wysiłku oka. Z drugiej zaś strony, muszki o cienkich drutach są wprost nie do użycia w złem świetle, o zmroku, w mgle i t. p.

Muszki: C, D, E, G, I, są znacznie lepsze, jeśli chodzi o widoczność samego przyrządu w złem oświetleniu, mają natomiast tę wadę, że zaciemniają pole widzenia, zajmując w niem wiele miejsca, wprost zasłaniają całokształt obrazu.

Z nich najchętniej używaną jest muszka C, znaczna większość lunet niemieckich posiada właśnie tę muszkę, lub też zbliżoną do niej: B. Celem poziomych drutów w polu lunety jest umożliwienie strzelcowi dokładnego utrzymania broni bez skręcenia w jedną lub drugą stronę, coby pociągało za sobą oczywiście zboczenie pocisku. Błąd ten jest tembardziej szkodliwy przy celowaniu przez lunetę, że jej oś optyczna jest osadzona o wiele wyżej od normalnej linji przezierania broni bez lunety, skutkiem czego zboczenia pocisku po skręceniu są znacznie większe.

W muszkach C, D, E, G, I, istnieje pozatem urządzenie, pozwalające na szybką ocenę odległości do zwierzyny. Na podstawie umowy standartyzacyjnej, zawartej między fabrykami optycznemi Niemiec w r. 1919, szerokość między grubemi, poziomemi kreskami tych muszek ma wynosić w lunetach wszystkich fabrykacyj 70 cm. na odległości 100 m., czyli długość rogacza. Stąd wynika, że jeżeli rogacz, widziany w polu lunety, zmieści się dokładnie między kreskami poziomemi — odległość wynosi 100 metrów.

Jeżeli znów zmieści się w połowie odstępu — odległość równa się mniej więcej 200 m.

Kwestję kształtu muszki już załatwiliśmy, pozostaje nam jeszcze do omówienia sposób, w jaki winna ona pozwalać na strzelanie na różne odległości.

Jak wiemy, w broni o przyrządach celowniczych otwartych, chcąc uzyskać większy kąt podniesienia lufy przy strzelaniu na większe odległości, podnosimy szczerbinę lub też obniżamy muszkę. Ten ostatni sposób jest zresztą bardzo rzadko stosowany z rozmaitych względów technicznych.

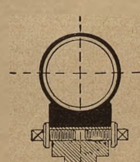
Otóż muszka w lunecie odgrywa tę samą rolę, co muszka na karabinie, jej podniesienie powoduje zmniejszenie kąta nachylenia lufy, a więc strzelanie „bliżej", jej obniżenie — powiększenie kąta — strzał „dalej".

Pozatem, konieczne jest posiadanie urządzenia, któreby pozwalało na przesuwanie boczne bądź to całej lunety, bądź to tylko muszki, a to dla ułatwienia przystrzelania broni w kierunku, które w przeciwnym wypadku byłoby prawie niemożliwe, gdyż wymagałoby niesłychanie dokładnego wyliczenia i ustawienia podstaw, na których luneta jest zmontowana.

W obu wypadkach istnieją dwa rozwiązania, które nazwiemy podług krajów, w których są stosowane: Niemieckiem — i Amerykańskiem.

System Niemiecki stosuje przesuwanie na wysokość „wewnętrzne", czyli polegające na poruszaniu samej muszki przy pomocy śrub oraz przesuwanie w kierunku bądź to „wewnętrzne", bądź to „zewnętrzne" całej lunety.

Przeciwnie, Amerykanie, a raczej ich jedyna firma optyczna, która pod względem precyzji i dobroci może konkurować z Niemcami: „Belding et Mull", stosuje oba przesunięcia zewnętrzne, to jest z poruszeniem całej lunety.

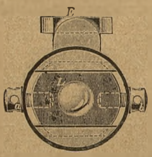


Rysunek 2.

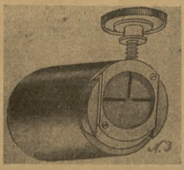


Rysunek 3.

Rysunki 2 i 3 pokazują w sposób łatwo zrozumiały przesuwanie wzwyż wewnętrzne, które polega na tem, iż muszka, umieszczona w odpowiedniej ramce, zostaje pociągnięta w górę lub opuszczana przez śrubę. Należy tu podkreślić, iż urządzenie, pokazane na rysunku 2 jest o wiele praktyczniejsze i bardziej pewne od następnego, ponieważ obecność dwuch śrub działających przeciwko sobie, wyklucza zupełnie rozregulowanie i uniemożliwia t. zw. luz, czyli obrót martwy śruby bez poruszania muszki, co zachodzi zawsze tam, gdzie mamy do czynienia tylko z jedną śrubą niekrępowaną.

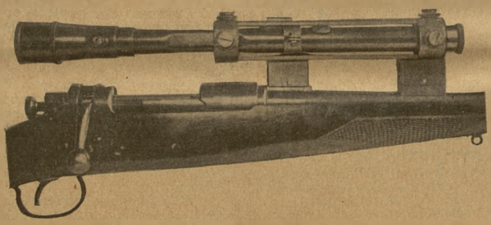


Rysunek 4.



Rysunek 5.

Przesuwanie boczne, wewnętrzne i zewnętrzne, widzimy na rysunkach 4 i 5. W wypadku 1-ym mamy dwie śruby krępujące się wzajemnie, umieszczone na jednej z podstawek, które przesuwają całą lunetę, w drugim, sama płytka muszki jest poruszana przy pomocy śrub.



Rysunek 6.

Sposób pierwszy jest praktyczniejszy od drugiego, gdyż nie pociąga za sobą całego szeregu komplikacyj w ułożeniu płytki z muszką, z warunkiem jednak, aby przesunięcia regulowały dwie śruby przeciwdziałające, nie zaś jedna, tak jak to widzimy w większości lunet niemieckich, budowanych w czasie wojny dla użytku wojskowego, a następnie dopasowanych do broni myśliwskiej.

Wreszcie rysunek 6 objaśnia Amerykańską metodę osadzenia lunety. Luneta o muszce zupełnie nieruchomej została umieszczona w podstawach czyli pierścieniach, zaopatrzonych w śruby mikrometryczne, które przesuwają nią we wszystkich czterech kierunkach.

Jestto urządzenie trwałe, mocne i pozwalające na nadzwyczaj precezyjne przystrzelanie lunety, a następnie na uwzględnienie wszelkich zmian w typie amunicji, ale jego waga, skomplikowanie, możliwość pomylenia się przy obracaniu aż 6-oma śrubami, a przez to samo kompletnego rozregulowania lunety, wreszcie koszt pozwalają się zastanowić nad tem, czy doprawdy Amerykanie, ludzie praktyczni i szukający zwykle rozwiązań prostych, nie mogli nic lepszego wynaleźć.

Kwestję przystrzelania lunety, a więc wykorzystania urządzeń, służących do podnoszenia lub zboczenia, omówimy w jednym z następnych artykułów.

J. PODOSKI.

O UŻYWANIU STARYCH ŁADUNKÓW.

„Kugel Schrot", organ Niemieckiego Instytutu, ostrzega przed używaniem starych ładunków.

Z dawna istnieje przesąd, że stare, szereg lat leżące ładunki tracą swoją moc. Dla ładunków z prochem dymnym zasada ta jest usprawiedliwiona.

Przy prochach małodymnych rzecz ma się wprost przeciwnie; mogą nastąpić w składzie chemicznym zmiany, które wywołają większą gwałtowność prochu, i wskutek tego ciśnienie niepomiernie zwiększają.

Autor przytacza szereg przykładów, gdzie stare ładunki wykazywały 800 a nawet 1000 atmosfer, wtedy gdy dopuszczalne jest ciśnienie 600 atmosfer dla najlepiej zbudowanych broni.

Długo leżące, podejrzane ładunki (o ile nie można dać ich do zbadania) należy rozebrać i zniszczyć. Używając ich, ryzykuje się stratę broni, a nawet całość własnej głowy.

W. SŁONCZYŃSKI.

NIEMIECKI INSTYTUT O NOWYCH, AMERYKAŃSKICH, NIEDAJĄCYCH RDZY ŁADUNKACH.

Od roku robią amerykańskie gazety wielką reklamę ładunkom małokalibrowym kal. 22, niedającym rdzy.

Niemiecki instytut sprowadził ładunki kal. 22 long rifle fabryk:

1) Remington „Kleanbore",
2) Western Cartr. Co „Non Corrosive",
3) Peters Cartr. Co „Rustless",

wszystkie nabite kulami ołowianemi. Strzelano z karabinków „Geco" po 20 strzałów z każdego, i pozostawiono niewyczyszczone w temperaturze pokojowej przez 8 miesięcy. Po wyczyszczeniu lufy były czyste i nie wykazywały śladów rdzy — toż samo przytrafiło się i z karabinkiem strzelanym niemieckimi ładunkami R.

Instytut wykazał, że: 1) amerykańskie ładunki nie są lepsze od niemieckich, dają bowiem najwyższą celność przy niektórych tylko warunkach konstrukcji lufy; 2) nie dają tej, co niemieckie ładunki, jednostajności; 3) niemieckie wykazały o 10 proc. wyższą szybkość.

Ponieważ wyższa szybkość i wyższa równomierność oznacza mniejszą wrażliwość na wiatr, przeto amunicja ta musi być uznana jako lepsza.

Wyraz temu dało angielskie Towarzystwo strzelania małokalibrowego, przyznając, że niemiecka amunicja jest najlepsza.

W. SŁONCZYŃSKI.

ŚMIERĆ HEKTORA.

(Ballada kinologiczna, jakich wiele).

Nie śmierć homerowskiego Hektora, obrońcy niemoralnego postępku wiarołomnej niewiasty ma być tu opowiedziana, ale rzeczywistego bohatera, obrońcy niewinności, rycerza bez obawy i skazy. Jest to smutna tragedja, wyjęta z nowoczesnej historji psiego rodu. Bo trzeba wiedzieć, iż psy także mają swoich bohaterów i męczenników, swoją historję starszą może od egipskiej, mają ludzkie cnoty i przywary, mają osobników z dobrem wychowaniem w dziecinnym pokoju i bez wychowania, mają swoje pasje i namiętności, dobre i złe instynkta, mają rasy, mają arystokrację rodową z drzewem genealogicznem i zwykłych robotników, mają komunistów, nawet apaszów w Carogrodzie, mają prawidłowych łowców i kłusowników, artystów i żebraków, pieszczoszków fortuny i od losu prześladowanych, mają takich, co wiecznie z założonym pomiędzy nogami kołkiem biegać, lub z kagańcem na pysku chodzić muszą i znów takich, co szczekać mogą, ile ich psia dusza tylko zapragnie. Mają takich co się łaszą i takich co gryzą, zupełnie jak w świecie istot dwunożnych.

To też z poczucia solidarności losu każdy mniej więcej człowiek pragnąłby posiadać psa, ale to upodobanie objawia się zawsze w odmiennej rasie, a zamiłowanie w odmiennej formie, stosownie do instynktów indywidualnych i poszczególnych, ludzkich interesów. Niewiasta np. jest zdecydowaną zwolenniczką drobnych rodzajów: pudla, pinczera, foxa i bolońskiego pieska, którego obsypuje czułościami, całuje, karmi słodyczami, kąpie i czesze, jada z nim z jednego talerza, ozdabia obrożę kolorową szarfą, jak rycerza w szrankach turniejowych, a na zimę okrywa ciepłym, watowanym płaszczykiem. Zezwala stale czworonożnemu ulubieńcowi wylegiwać się na jej niewieściem łonie, ku zazdrości niejednego ludzkiego Adonisa. A nawet miejsce spoczynku stworzenia tego jest czasami niezwykłe, i były wypadki, iż włamujący się do śpiącej piękności zbrodniarz spłoszony został warczeniem pieska pod kołdrą.

Żywot takiego bydlęcia jest rzeczywiście godny pozazdroszczenia. Są jednak psy żyjące w mniejszej rozkoszy, które chodzą o suchym kawałku chleba i jałowych ziemniakach cały dzień Boży za bydłem lub skopami, są takie, które wózki i taczki za sobą ciągną; proletarjusze psiego narodu. Często nawet szlachetne rasy bernardynów, newfundlandczyków, dogów i wilków nie są bez utrapień życiowych. Druga połowa — jak niektórzy nowicjusze, pochlebcy i nieświadomi nazywają, lepsza czy piękniejsza połowa rodu ludzkiego, ma mało zrozumienia dla ich arystokratycznego pochodzenia i jest ich stanowczym przeciwnikiem.

Próżno apelujesz do dobroci serca niewieściego, próżno perswadujesz, iż stworzenie takie, w obecnych czasach kradzieży i włamań jest wiernym a nieodzownym stróżem domowym, że wylizuje wszystkie talerze, co kucharce obmywanie czyni zbytecznem. Zdarzające się zaś zanieczyszczenie pokoju pochodzi tylko z chwilowej niedyspozycji żołądka, z niestrawnie przyrządzonego obiadu, a hodowla pcheł w psich kudłach daje małżonce każdego wieczora zajmującą sposobność do uprawiania sportu łowieckiego.

Wszystko na próżno! Wierne i szlachetne takie psisko musi iść na łańcuch, do budy, najczęściej wszakże czeka go wiekuiste wygnanie.

Inaczej jest z psem legawym, tam już myśliwy wobec białogłowy ma łatwiejsze stanowisko; gdy wszystkie wyżej wymienione argumenty nie skutkują, dokłada jeszcze, iż człowiek, jako tylko w dwoje nóg zaopatrzony ani gonić, ani przynosić, a tem mniej wystawiać zwierzyny nie może. Rozgłoszono wprawdzie o kamizelce wynalazku jakiegoś zmyślnego krawca, która ubranego w nią myśliwego miała do kuropatw dociągnąć, ale wiadomość ta okazała się, niestety, przedwczesną. Pan Weyssenhoff polecił w to miejsce bardzo gorąco młodą dziewczynę, która nawet z wody zwierzynę wynosi, ale taki aporter znajduje zwykle u czcigodnej małżonki bardzo mało zrozumienia i woli ona już z dwojga złego dla małżonka na polowaniu czworonożnego towarzysza.

Czy z tych utylitarnych względów, czy jedynie z wrodzonej dobroci pani Otylja dla Hektora, polskiego wyżła legawego, a bohatera naszej ballady tworzyła odrazu zaszczytny wyjątek. Gdy małżonek pan Roch Stołwiński z dzierżawionego polowania przy Junikowie w pobliżu Poznania, dzięki cnotom legawca spiżarnię domową zawsze zasobnie w zwierzynę zaopatrzył, stała się pani Otylja dla Hektora pełną uprzejmości a dla małych psich słabości miała zawsze wyrozumienie.



Trofeum wiosenne inż. Miecz. Pawlika z Grajewa.

Dzięki względom pani domu dostał przystojne, miękkie posłanie w przedpokoju i poza obfitą strawą niejeden smakołyk, a nawet pieszczotę z ręki tej, której z czasem stał się wyjątkowym faworytem. I tak Hektor doczekał się w służbie uczciwej lat sędziwych, żyjąc, jak to przystało na prawidłowego psa myśliwskiego, w szacunku i poważaniu domowników.

Niestety, spoczywa on już dziś pod darniną głęboko, a pamięć jego zgonu wzbudza boleść ogólną, wyrzuty sumienia i smutne wspomnienie w duszy jego pana.

Niechętnie pan Roch o tem myśli, a tem mniej mówi.

Ale przecież zdarzyło się, iż tragiczny ten epizod myśliwski, dotąd w głęboko ukrytej tajemnicy chowany, wyszedł na jaw dzięki wpływowi czynnika, co to rozwiązuje języki ludzkie.

W „dziurce" bazarowej, znanej z kilku moich opowieści, gdzie już niejedna tajemnica wyszła na jaw, przy kieliszku „suchowiaka" wyspowiadał się pan Roch przyjacielowi swemu pod największym sekretem, który ja wszakże siedząc obok za przegrodą, podsłuchałem niedyskretnie i którym z Wami, P. T. Czytelnicy podzielić się postanowiłem ku przestrodze całej rzeszy z pod znaku bogini Dyany.

Według „opowiadania myśliwskiego" dla ogółu ludzkości, do którego należała specjalnie czcigodna małżonka pana Rocha, przyczyną zgonu ulubieńca była apopleksja. W rzeczywistości rzecz miała się jak następuje:

Działo się to pewnego pięknego dnia w czasie polowań jesiennych. Wcześnie zrodzona, różowopaluszkowa i wymanicurowana zorza poranna — mówiąc stylem starego Homera — już dawno horyzont ranny ucałowała, gdy pan Roch Stołwiński ze starym „Hektorem" na rzemieniu pokicał na dworzec w Poznaniu. Hektor zwiesił smutnie strychulec. Czyby go tak wzruszyło pożegnanie z domowymi kątami, lub też ponure przeczucie wstrząsnęło szlachetną jego, psią duszę? Któż zgadnie?

W każdym razie dzień mu się od samego rana źle rozpoczął; powstanie lewą zadnią nogą z posłania, jako złowieszczy znak rozpoczęło ten dzień feralny.

Wkrótce znalazł się pan Roch z Hektorem w pociągu. Po wejściu do wagonu, gdy konduktor z właściwym efektem zatrzasnął drzwi przedziału, brakło tylko kilka milimetrów, a pióro Hektora zmiażdżone zostałoby na miazgę; uszło zaś tego losu jedynie przez błyskawiczne wciągnięcie, do czego jest zdolny tylko najwyższy instynkt samozachowawczy psiego ogona.

Po przybyciu na stację nieprzyjemna znów zdarzyła się awantura. Wielka, kudłata bestja jakiegoś rzeźnika napadła szlachetną foxterier-suczkę i rzuciła ją brutalnie na ziemię. W tej chwili skoczył Hektor ku obronie niewinności, nie licząc się ze swym wiekiem i siłami przeciwnika. Poturbowany z nadszarpniętemi uszami, kulejąc, ciągnął za panem ku ciemnemu jak przeznaczenie losowi i jednocześnie ku miejscu tragicznego wypadku.

W kilka strzelb urządzono w boru małą nagankę, do wypłaszania użyto jamnika. Kusiciel ten zaczął ujadać i porwał oczywiście do czynu nierozważnego naszego Hektora, który mimo kulawej nogi dał się unieść namiętności łowieckiej i po krótkiej walce wewnętrznej niepostrzeżenie zginął w gęstwinie. Pan Roch Stołwiński słyszy zawzięcie goniącego jamnika, gonitwa ta zbliża się coraz więcej, gotową strzelbę ściska konwulsyjnie w dłoni — już coś miga przez krze... buf... pan Roch pędzi na miejsce morderstwa — jeden okrzyk zgrozy... z zamykającemi się ślepiami posyła Hektor panu swemu ostatnie spojrzenie, pełne wyrzutu, jakby mu chciał powiedzieć: „Widzisz, oto jest podziękowanie za tyloletnią, wierną służbę, oto są skutki nierozsądnej palby do wszystkiego, co się rusza, nie mając pewności, czy się rzeczywiście ma zwierza łownego przed strzelbą. Takiś to myśliwy, ścierwiarz jesteś, nic więcej".

Ale poczciwy Hektor nie mógł już tak długiej przemowy wygłosić, gdyż śmierć nieubłagana rozpostarła swe skrzydła nad jego patrjarchalną głową.

Pan Roch Stołwiński wrócił wieczorem tego psim wdowcem w progi domowe i stanął ze wzrokiem wyrażającym wielkie zakłopotanie przed czcigodną postacią małżonki — z całą świadomością nieprawidłowego uczynku w duszy.

Ale jest to przekleństwem złego czynu, iż wiecznie złe rodzić musi, — i tutaj zrodziło też morderstwo Hektora, wołające o pomstę do nieba kłamstwo, iż faworyt małżonki, goniąc za postrzelonym zającem, a więc wypełniając obowiązki zawodowe, legł nagle tknięty paraliżem.

Skonstatował to przywołany weterynarz, którego wszelkie wysiłki uratowania ulubieńca okazały się bezskutecznymi.

Tak opowiadał z dramatycznym patosem smutną przygodę pan Roch swej małżonce, która ze łzami w oczach przysłuchiwała się smutnej legendzie.

Popełnione kłamstwo z potrzeby, przybrane było w fantastyczne szaty prawdopodobieństwa. Pani Otylja nie mając własnego potomstwa, skupiła na psie całą miłość karmicielki. Hektor na starość więc — co nie tylko u psów się zdarza — przybrał skrom i rozmiary rywalizujące z objętością talji swej opiekunki. O paraliż więc nie było trudno.

Nie żył już więc stary Hektor, ale furja pomsty unosiła się nad jego grobem; i gdy zatwardziałego serca pan Roch zamiast żyć w żałobie i w żalu nosić ciężar psiego wdowieństwa, sprawił sobie nowego legawca, wtedy owa furja ulokowała przygotowaną zemstę w skórze nowego nabytku.

Długo dopytywał się pan Roch pomiędzy znajomymi nemrodami, długo szukał pomiędzy ogłoszeniami odpowiedniego legawca, aż przypadkowo oczy jego spoczęły na następującym anonsie:

„Wielka oferta psów myśliwskich
Psy myśliwskie wszelkich gatunków, jak angielskie i szkockie setery, wyżły niemieckie, krótko, długo i szorstko włose, jamniki różnej maści i uwłosienia, foxterjery, spaniele, gończe: ogary, ruskie i węgierskie charty, wszystkie najszlachetniejszej rasy, import zagraniczny poleca Izar et Hinka, jeneralne zastępstwo na Polskę w***"

To była zachęcająca oferta.

I drgnęła zachwytem poczciwa, polska dusza na takie zagraniczne nadzwyczajności.

— Wiesz, kochanie, — zauważyła małżonka, — to nie polskie stworzenia, kto wie jak wychowane — w jakich obyczajach; Hektor był z polskiej hodowli.

Trzeba wiedzieć, iż Słotwińscy żyli, jak to się często u starszych małżeństw przytrafia, w ciągłej opozycji zdań i wzajemnych przekomarzań. Uważał też pan Roch i tę uwagę swej lepszej połowy, za niewłaściwe mieszanie się do męskich interesów.

— Psie obyczaje są wszystkie równe, odciął więc zaraz wojowniczo, a potem dodał złośliwie, — wszakże czekolada chociaż wszędzie wyrabiana z kakao, — słyszę od ciebie, lepsza od jednego fabrykanta, niż od drugiego;

Ale tu poruszyła się w takim docinku pokrzywdzona godność pani Otylji.

— Tak mówi ten, który nosi z angielskiej materji garnitury i wiedeńskie buty, chociaż są bielskie i warszawskie...

— Nie irytuj się jejmość, — znów na to dobrodusznie małżonek, wiadoma rzecz, iż kobietom pachną tylko francuskie perfumy i mydła, konserwują najlepiej płeć niemieckie kremy i kosmetyki, nie mówię osobiście — bynajmniej, ty najwyżej przekładasz banany, pomarańcze, figi i daktyle nad nasze jabłko, gruszkę, śliwkę i czereśnię.

— A ty kawiory, koniaki, hamburskie cygara...

Tak przymawiając kocioł garnkowi, przekomarzali się państwo Słotwińscy dość długo, ale ostatecznie „zwyciężyła męzka strona" i suka została — sprowadzona.

Ale w rzeczywistości był to pies, a miano je-

go było Atylla. Z korespondencji, jaka poprzednio zawiązaną została, wynikało, iż pochodzenie i cnoty psa tego były nadzwyczajne. Atylla z Langenhorn, niemiecki pies „szorstko-włosy" — stało w jego świadectwie, „syn Rolfa z Jungfernheide i Arjadny z Buskau-Waldenhausen odznaczony najwyższą nagrodą związku kinologicznego Diana w Pankow. Tresura domowa i polna pierwszorzędna, pracuje na otoku, oszczekuje grubą zwierzynę, cięty na drapieżniki, respektuje zające, prima aporter na lądzie i na wodzie".

Mając taki dokument, pan Roch sądził, iż cena 600 zł. za psa takiego jest prawie darowana, temwięcej, iż pewność znakomitej tresury zdawała się niewątpliwą, skoro firma przystała na ośmiodniową próbę, wprawdzie z warunkiem zabezpieczenia sumy przez poprzednie jej nadesłanie, — ale to rzeczy nie zmieniało, panowie Izar et Hinka byli znani i pewni... Pies w 8-miu dniach, w razie niepodobania się, musiał być bezspornie odebranym, taki był warunek, — więc nad czem było się jeszcze namyślać?...

I Atylla z Langenhorn przybył do Poznania, do miejsca swoich debiutów myśliwskich.

Wprawdzie pani Otylja miała pewne wątpliwości, ostrzegała więc męża, jak Laokoon Prijama pod murami Troi, zauważyła zaraz, iż „pies ten strasz-liwie kudłaty, czysta hodowla pcheł, łeb ma australskiego dzikusa, — słowem brzydki jak małpa, nie może więc w nim siedzieć coś poczciwego".

Ale pan Roch widząc li tylko zasadniczą opozycję, twierdził, iż to jest osobliwość, — dowód czystości rasy, — „Pani dobrodziejka się na tem nie zna i basta"...

I tu bogowie rozpoczęli bezzwłocznie nad upartym trojańczykiem czynność karzącą i z kudłatego potwora zaczęli wychodzić ukryci zdrajcy, jak z drewnianego konia greckiego.

W pierwszej zaraz dobie Atylla złożył dowód tresury pokojowej, wpadając w upatrzonej chwili do jadalni i sprzątając co było jadalnego na stole. W nocy znaczyło się jego wychowanie dokumentnie na podłodze pokoju, a w czasie tym i w cię tości na drapieżniki złożył przekonywające dowody.

Mieszkała na tem samem piętrze Amalja Nieruszanka, w zatwardziałym stanie panieńskim żyjąca dziewica. Pomiędzy istotami osładzającemi jej żywot doczesny był i kotek Bibuś — młodziutkie jeszcze stworzenie o mlecznem uwłosieniu i rubinowych ślepkach, — niewiniątko kociego rodu. Z Bibusiem żył poważny Hektor w największej zgodzie i bywało, iż nie tylko w sąsiedzkiej przyjaźni pozwolił mu jeść z jednej miski, ale nawet poobiednią drzemkę odbywać w przedpokoju na wspólnem łożysku.

Tego dnia stało się wszakżeż coś niesłychanego. Gdy młody Mruczysław w nieświadomości zdarzeń i tragicznego wypadku ze swym przyjacielem, w błogiej niewinności kociej wszedł do pomieszkania państwa Słotwińskich, wyskoczył srogi Atylla i byłby bezzwłocznie zatopił kły w miękkiej skórce Bibusia, gdyby tenże zręcznym ruchem nie schronił się pod małą szafkę bufetową. Ale i tam wilcza natura Atylli znalazła drogę i wsadziwszy kudłaty łeb w podstawę, uniosła z gwałtownym naporem lekką budowę.

Łoskot spadających talerzy i szklanek zmieszał się z cichem miauczeniem nieszczęsnej ofiary cię tości szorstko-włosego.

Pan Roch, aby uniknąć niemiłego recontra z sąsiadką, pozostawiając załagodzenie tragicznego zgonu Mruczysława małżonce, zabrał czemprędzej Atyllę i śpiesznie skierował się do dworca, aby pierwszym pociągiem wybrać się do rewiru.

Ale już w mieście syn Rolfa z Jungfernheidy okazał dalsze zdolności i wprawę „w pracy na otoku". Prowadzony przez nowego pana na lince, to ciągnął go, jakby miał kultur-tragera z taczką za sobą, to znów zahaczał się przy każdej latarni, dając panu zarazem potężne szarpnięcie rzemienia, a dla odmiany raz naprzód, raz w bok i w tył. Zatrzymywał się też gwałtownie przy każdej narożnej kamienicy, sądząc, iż jest pożar, który gasić należy.

Poza cenzurą wystawioną w anonsie, okazał Atylla w dalszej podróży, a mianowicie w wagonie kolejowym wszechstronność dalszych swoich zalet. Siedział tam pan jakiś, a przy nim dama z bonońską suczką na łonie, na widok tejże, to jest suczki, a nie damy, — taka niepohamowana miłość zawrzała w piersi Atylli, że bezzwłocznie rozpoczął gwałtowne wynurzenia swych uczuć, co następnie było powodem gwałtownych rozhoworów pomiędzy właścicielami obydwóch psów.

Przybywszy na łowisko, okazał Atylla dalsze swoje zdolności, a mianowicie wpadał, jak kania, pomiędzy kuropatwy, ujadając za niemi zawzięcie. Zające gonił jak zwarjowany, respektując je na ten czas dopiero, gdy przestraszone kocisko ukryło się w jakich cierniach niedostępnych dla prześladowcy.

ZDJĘCIE WYRÓŻNIONE NA KONKURSIE FOTOGRAFICZNYM „ŁOWCA POLSKIEGO".



Z letnich polowań Pomorskiego Klubu Myśliwskiego w Grudziądzu.

Owce i krowy brał za grubą zwierzynę, oszczekując zajadle każdą napotkaną sztukę, a gdy panu Rochowi powiodło się wreszcie odbić jedną kurę ze stada, ten „prima aporter“ rzucił się jak wilk żarłoczny i przynosząc, mamlał ptaka tak długo, aż oskubał go z pierza i wypuścił patrochy.

Zdolności te zapewniły niezawodnie owe wysokie odznaczenie w klubie kinologicznym „Diana“ i wysoki numer w cenzurze, któraby ś. p. profesor ad. S. Mariam Magdalenam Laskowski, ongi mój ordynarjusz ze seksty, oznaczyłby niezawodnie swoim zwyczajem szóstką z gwiazdką.

Ale p. Roch na wystawieniu psich cenzur widocznie się nie znał, bo szóstek nie pisał; wszystkie te czyny przerywane były odgłosem bębna, co się odezwał na psiej skórze, i żałośną pieśnią skargi psiego gardła. Pan Roch bił jak tambor-major, rzucał piorunami jak Jowisz, pluł ogniem ze złości jak smok wawelski. W chwilach egzekucji chwytała go tęsknota za starym Hektorem i odzywały się wyrzuty sumienia za popełnione morderstwo. W myśli skradał się on też z ciężkiem sercem, z głębokim żalem do owego leśnego kącika, cichą łzę roniąc nad grobem wiernego towarzysza. Ale skrucha nie wskrzesiła już zmarłego, a zemsta ścigała dalej mordercę.

W dalszym ciągu polowania próbnego „respektujący zające“ Atylla gonił właśnie ku północy w kierunku Gdyni jednego z rodziny korpalów, obleciał kolejką wszystkie rewiry pomorskie, skierował się ku wschodnim rubieżom Rzeczypospolitej i nawróciwszy ku południowi, pędził wzdłuż Karpat ku Śląskowi, gdy pan jego pozostawszy w Wielkopolsce, z natężeniem pełnej siły płuc swoich dął w piszczałkę i wydawał głos jak syrena okrętowa. Gdyby nie to wytężenie, słyszałby był niezawodnie głuchy łoskot, podobny bardzo do strzału ze strzelby, który wyszedł od strony sąsiedniego rewiru.

Dobrze, że p. Roch przestał gwizdać, gdyż inaczej gwizdałby jeszcze dzisiaj.

Premjowanego Atylli nie ujrzało już nigdy oko ludzkie, leżał wyciągnięty w nieprzyjacielskiem łowisku, jako pastwa dla drapieżników, których tępieniem miał się zajmować.

I tak pan Słotwiński po raz drugi wrócił psim wdowcem do domowych pieleszy.

Ale tym razem, widząc, iż „przegrała męzka strona“, stał się wobec małżonki cichy i pokornego serca. Natomiast całą energję skierował w kierunku firmy Izar et Hinka; obszernie opisał przeżyte przygody z premjowanym w klubie Diana legawcem, wyliczył wszystkie przez tegoż wyrządzone szkody, zażądał zwrotu nie tylko sześciu set złotych, ale nadto i wszelkich kosztów powstałych przez egzamin Atylli i objekcji z tego wynikłych.

List ten, jako i następne pozostały bez odpowiedzi, a natomiast rozpoczął się długi i zawiły proces, którego przebieg tutaj w krótkości podaję:

Dwa pierwsze terminy zużyć należało jako informacyjne w tak zawiłej sprawie myśliwskiej, porówno dla stron jak i Prześwietnego Sądu.

W trzecim terminie pan Kręcki, adwokat pozwanych negował wszystkie twierdzenia skarżącego i oświadczył gotowość stawienia przeciwdowodów.

W czwartym zawezwana jako świadek kucharka państwa Słotwińskich zeznać była zniewoloną iż przyrządzona i dana psu strawa nie zawierała w sobie substancyj powodujących zaburzenia w psim żołądku.

W piątym stawiła się zapozwana panna Amalja Nieruszanka do stwierdzenia ciętości Attyli na drapieżniki.

W szóstym udowadniał świadek Skotarek z Junikowa, iż Atylla rzeczywiście oszczekiwał pędzone przez niego kozy, a nawet czynił to wobec tak wielkiego zwierzęcia, jakiem jest krowa.

W siódmym udawadniał skarżący, iż oszczekiwanie i ciętość na drapieżniki, jaką okazał Atylla, w tych wypadkach nie są świadectwem tresury, — przeciwnie dowodem zupełnej surowości psa myśliwskiego.

W ósmym wezwano kilku znawców, dla stwierdzenia, czyje zapatrywanie jest miarodajne, i czy w danych okolicznościach tresowany pies był, czy też nie był w obowiązku zaduszenia Mruczysława i oszczekiwania bydła junikowskiego. Przytem stwierdzono, iż w Polsce niema klubu ani stowarzyszenia kinologicznego, u którego fachowe rozstrzygnięcie sprawy tresury osiągnąćby można.

W dziewiątym pozwani deferowali skarżącemu przysięgę, iż zużytkował wszelkie prawidła i środki tresury, aby Atyllę powstrzymać od ścigania zająca.

W dziesiątym już, już wściekły pan Roch Słotwiński stawił wniosek o rewizję przez znawców, psich zakładów Izara et Hinki.

W jedenastym stwierdzono, iż tym razem w firmie zapozwanych wybuchła wścieklizna.

W dwunastym osiągnął skarżący wyrok na pozwanych zasądzający na zwrot 600 zł. i na poniesienie wszelkich kosztów i wykładów, z procesu wynikłych.

Wreszcie już bez terminu pan komornik stwierdził, iż firma Izar et Hinka została zlikwidowana i wymazana z rejestru handlowego.

Tak zakończył się przed sądem „psi proces“.

Aby jednak ulżyć zbolałemu sercu, pan Roch Słotwiński zapisał w książce wydatków:

„Za Atyllę z Langenhorn alias Rakarza z Hyclewa syna Szczekacza z Kondlewa i Merdy z Blekotu wraz z kosztami 1.456 zł.“, a pani Otylja dorwawszy się raz do tej książki tajemnych, mężowskich wydatków, dopisała pięknie, kaligraficznie:

„Mądry Polak po szkodzie“.

Gdyby tylko chcieli, osiągnęliby i inni z tej ballady wiele mądrości, — ale lepiej o tem nie mówić...

WŁADYSŁAW JANTA-POŁCZYŃSKI.

Z POLOWAŃ NIEŚWIESKICH

Zbliżał się 1-szy marzec, a z tym dniem kończy się sezon polowań na dziki. Tem większą niespodziankę i radość sprawiło nam zaproszenie do stawienia się dnia 27 lutego na dwudniowe obławy w południowej części lasów ordynacji Nieświeskiej w nadleśnictwie Chominki.

Starosta P. Czarnocki zabiera nas do samochodu. Jazda niezupełnie pewna. Wszak śniegi spadłe w pierwszych dniach listopada nie stopniały w Nieświeskiem ani na jeden dzień, a przeciwnie późniejsze zamiecie posypywały je coraz nowemi warstwami, aż na traktach urosły zwały na dwa metry wysokie. Ale ryzykować można. Wrazie czego wsie przydrożne poratują nas sankami.

Mało do tego brakowało. Już między Nieświeżem a Kleckiem samochód wkopał się w śnieg i tylko przezorności szofera zawdzięczamy to, że znalazła się i siekiera do zrąbywania gałęzi, i łopaty do rozkopywania rozpędu.

Z Klecka na szosę Słucką pod Sieniawką, skręt w lewo, kilka kilometrów wartkiej jazdy po szosie, skręt w prawo na Zarstrowiecze, przejazd mostu na Łani po ruszających się dylach, szukanie już po ciemku świeżym śniegiem zasypanej drogi, jeszcze parę skrętów i w dali błysło przed nami światło przed linją lasów — to leśniczówka Chominka.

Nazwa to na Kresach znana. W roku 1924-ym banda dywersyjna przekroczyła o 4 km. odległą granicę polską, napadła na leśniczówkę i wymordowała cały personel nadleśnictwa. Policja i wojsko przybyły z odsieczą za późno. Wszak jeszcze KOP-u na granicy nie było. Dziś strażnica z wieżą obserwacyjną czuwa dniem i nocą nad bezpieczeństwem okolicy.

W leśniczówce gwar. W nieobecności gospodarza, ks. Albrechta Radziwiłła, który ze względu na stan zdrowia musiał wyjechać za granicę na zimę z Nieświeża — wita nas jego pełnomocnik P. Oskierka. Jest nas już piętnastu myśliwych — reszta dojedzie nazajutrz.

Zbiórkę wyznaczył kierownik polowania p. dyrektor Henszel na ósmą. Ma on doświadczenie myśliwskie: pięćdziesięcioma czterema niedźwiedziami na rozkładzie, zdobytymi w tajgach Syberji nie każdy, jak on, może się poszczycić. Ale tym razem mamy wrażenie, że zbłądził. Poco czekać do ósmej, kiedy już o siódmej widno, a przedobławne nerwy i tak wyspać się nie dają.

Pogoda nam sprzyja. Lekki, ośmiostopniowy mróz bez wiatru, porowa, więc ślady znaczne.

Zajeżdżają długim szeregiem białoruskie, w jednego konia z hołoblami zaprzęgnięte sanie. Któż ich nie widział i któż ich nie zna z obrazów Fałata, czy Kossaka. Te same czapy futrzane, te same brody czarne „chazjajów", te same w długą sierść obrosłe koniki.

Każdy z myśliwych rozkłada się na wymoszczonych saniach w pojedynkę i rozpoczyna się śliczna, długa jazda. Tuż za leśniczówką wjeżdżamy w las, a można nim jechać pięćdziesiąt mil — aż po południową granicę Polesia. Mijamy zagajniki, potem starsze rewiry, jakaś polana ze wsią budowaną tak ciasno, że między chatami przecisnąć się nie można. Za stodołami wysokie, ponad dachy sięgające, a szerokie na piętnaście metrów drabiny. Co to? To suszarnie dla siana i zboża.

W tym mokrym kraju wysuszyć zboże też jest sztuką. A potem kończą się ludzkie siedziby i zaczyna się puszcza. Wykrot sosny zwalonej, zarosłe mchem trawy, a wszystko okryte białym puchem śnieżnym, nieruszonym i niesmalonym przez żadne dymy ni kurze.

Jedziemy długo, może godzinę, może dwie. Leżąc na sianie w sankach, jest czas patrzeć i myśleć, przejmować się nadzieją spotkania z dzikami; potem zapominać o tem, że się jedzie na polowanie, a tylko cieszyć się puszczą i śniegiem i wykrotami i dalekością spraw i zmagań a kłopotów ludzkich.

Przednie sanki stanęły przed szarym tłumem naganki. A więc to ona, te same „huczki", które wiszą tam nad kominkiem na obrazie Fałata, te same łapcie, sękate kije, te same rogi gajowych. Pamiętają one przedwojenne polowania, a może i dawniejsze. Na rogach tych grali rówieśni Wojskiego, gdy to Pan Mickiewicz błąkał się po lasach.

Ale teraz rogi nie grają. Przeciwnie wśród szeptów schodzą się myśliwi, nastrój uroczysty, jakby przed wielką jaką ceremonją, przed ceremonją obławy. Ten nastrój udziela się każdemu. Czy mniej czy więcej żyłki w nim myśliwskiej — to obojętne, bo każdy poddaje się temu nastrojowi, który ogarnia ludzi w sercu knieï. Chwila losowania stanowisk, chwila ważna, bo od niej zależy łut szczęścia.

Potem wyruszamy piechotą, cicho stąpając po śniegu. Idziemy gęsiego, ścieżynką naciętą przez gajowych. Czasem wykrot przewalony wpoprzek zmusza do kołowania, czasem śnieg tak gęsty, że nogi trudno z niego wyciągnąć. Dochodzimy do linji. Tam, co kilkadziesiąt kroków widnieje jakby mały szałasik ze świerków; za nim stanie myśliwy.

Jeden numer po drugim ubywa, wreszcie mój — dziesiąty. Zostaję — a szereg dalszy myśliwych mija mnie, oceniając po drodze, czy zazdrościć, czy cieszyć się, że to stanowisko nie jemu wypadło.

To zdaje się być dobre. Zagajnik gęsty, na 10 czy 15 kroków już tworzy się zwarta ściana, przez którą nic dojrzeć nie można. Wśród zagajnika wyrasta starodrzew mieszany: dąb, sosna, wiąz, świerk i buk. Skrzypienie odchodzących myśliwych ucichło, sąsiad lewy zaszył się pod drzewo, prawy chwilę jeszcze się kręci, potem i on skrył się za chojaki. Cisza. Mija kwadrans pierwszy. Oczy rozpoznają szczegółowo przedpole. Ta okiść przysłania okno, wartoby ją strzepnąć, a gałązkę złamać. Ale strach bierze, by nie spłoszyć zwierzyny, mój sąsiad w je-



Z hodowli srebrnych lisów.

dnym z mietów łamał sobie gałązki, właśnie dzik wysunął się na niego i zanim ten się spostrzegł, już dał z powrotem nura w gęstwinę.

Trzeba więc czekać cicho i cierpliwie. Sztucer załadowany, oparty o drzewo, czeka też na sposobność strzału.

Cisza. Las zamarł w bezruchu w swej pięknej szacie białej. Już teraz znam każdy krzak, każdy pień, każdy pniak, każdy śnieżny pagórek. Może tu, może tam wychyli się na chwilę czarna głowa dzika. Drugi kwadrans już mija.

Cisza. Pocichu, bezszelestnie napływają już wspomnienia. Z takich lasów, pokrytych śniegiem, het z dali, z Karpat, z lat wojennych, gdy to na placówkach legjonowych się stało, a człowiek był i myśliwym i zwierzyną zarazem... Tylko tam las nie był tak cichy. Czy mi się zdaje, czy słyszę szum odległy, tamtych, może dziś już wyrąbanych lasów? Nie! Szum idzie naprawdę — nie dołem, ale górą, wierzchołkami najwyższych drzew. Trochę śniegu osypało się, nawet jedna gałązka opadła z najwyższej sosny tam w prawo. Poleską puszczą przeszedł nie szum, ale jakby westchnienie, może na wspomnienie tamtych karpackich lasów, łowisk, młodych kolegów ułanów, którym wciąż jeszcze szumią na mogiłach smukłe jodły karpackie. Trzeci kwadrans przeminął.

Zimno zaczyna przejmować i zaczyna złość brać. Stać tak cicho, bez ruchu prawie od godziny i czekać, a może napróżno. Czyżby dziki wyszły z ostępu, czyżby huczki zbłądziły i obława do skutku nie dojdzie? Myśliwy zaczyna się czuć, jak żołnierz na zapomnianej placówce. Aż słońce zlitowało się, przebiło przez mgłę i zaczęło dziwy stroić na śniegu. Rozsypało blaski po krzewach i okiściach, zarumieniło świeżą barwą korę drzew, ozłociło sople żywicy, cieniami w kratkę przystroiło biel śniegu. Jakiś dzięcioł wychylił się z kryjówki i zaczął pukaniem mącić na chwilę ciszę. Potem, jakby zastraszony obawą, by nie spłoszyć dzików, furknął między gałęzie i odleciał daleko.

Gdy piąty kwadrans czekania mijał, panowała znów cisza.

Aż nagle przerwał ją ton wysoki, zajadły, powtarzany: Aj! Aj! Aj! Aj! Potem ozwał się drugi — niższy, utworzyły duet, dołączył się trzeci, czwarty, dziesiąty i cały chór głosów rwał ciszę na strzępy, targał nią boleśnie, zaczął się zbliżać, potężnieć, w szybkim rytmie przewalać, potem słabnąć, przesuwać wprawo, wgłąb, oddalać, znów zbliżać... To zagrała kapela ogarów. Piętnaście gończaków starej, Radziwiłłowskiej hodowli puszczonych w knieje odszukały stado dzików, szarpały je, rozpędzały, by rozbić na gromadki, na oddzielne sztuki.

A za kapelą ogarów ozwały się huczki. Najprzód przeciągłe sygnały trąbek, potem beki rogów, a na to hasło dwieście drewnianych klekotek zaczęło bębnić w knici.

Po godzinnej ciszy wrażenie niczem bitwy. Jakieś wspomnienia wracają do głowy, ktoś mi opowiadał takie polowanie. Już wiem, to „Pan Tadeusz" ucieleśnił się w życiu.

Gończaki pędzą na mnie. Pierwotny chór rozbija się na głosy. Już można rozróżnić wściekłe, aż piszczące ujadanie „Wisły", niski ton „Płowego", krótki, urywany wrzask „Donki". Pędzą na mnie. Słychać już tupot racic, trzask łamanych gałęzi. Sztucer drży w ręku, bo nic widać nic; gęsta ściana tworzy zasłonę nieprzeniknioną dla wzroku. A tam o 50, 60 kroków odgryza się stado dzików. I odgryza się dobrze, bo słychać już zranionego psa może szablą odyńca. Skowyt oddala się, znów zlewa w jeden chór, tylko już przytłumiony. Jeszcze raz się przybliżył — znów oddalił w lewo, aż gdzieś tam padł strzał, jeden, drugi, trzeci. Zatrzęsła się sędziwa knieja od huku wystrzałów. A myśliwemu aż serce bije z zazdrości. Oni tam strzelają, a ja nie, były dziki tak blisko, gdyby nie ten gąszcz przeklęty, można było dojrzeć! Jeżeli całe stado poszło przez linję, czekanie na nic. Nic już więcej nie wyjdzie. Robi się ciemno, zniechęcenie ogarnia. A tam w oddali psy wciąż ujadają, widać poszły za stadem w głąb ostępu.

Ale obława trwa jeszcze. Poszum klekotek dalekich dochodzi coraz wyraźniej, to tu — to tam odezwie się przeciągle róg gajowego. Trud ich zbyteczny, skoro dziki już pewno przeszły za linje.

Aż nagle niespodzianie bliski trzask gałęzi i za ścianą gęstwiny przesuwa się na wskos siedem czarnych cieni. Słychać sapanie ciężkie — ale jeszcze kształtów trudno rozeznać. Idą na sąsiada. Nagły zwrot. Są! Gdzie odyniec? Chyba ten, bo największy. Strzał! Ciemna masa zwaliła się ciężko na ziemię. Reszta stada — o dziwo, zawraca i sunie wprost na mnie. Drugi strzał na sztych, ale widać kula ześlizgnęła się lub poszła poprostu mimo celu — dziki doszły na pięć kroków — popatrzyły ślepiami i w dwóch susach powrotnych już zginęły w gąszczu. Gonię je trzecim strzałem zapewne spóźnionym.

Znów cisza. Całe spotkanie trwało kilka sekund. Po długiem czekaniu i naprężeniu nerwów ta nagła zjawa stada czarnych potworów wydaje się przywidzeniem. Patrzę przez gąszcz. Czarna masa leży i jeszcze drga lekko. A więc dziki były — trofeum zostało.

Klekot nagonki się zbliża, lada chwila wyjdą chłopi z gęstwiny. Znów ujadanie psów się zaczyna i po chwili znów łomot. To samo lub może inne stado przesuwa się wśród gąszczy przedemną. Niestety, strzelać nie można, bo huczki zbyt blisko. Myśliwy dusi w ręku karabin, że aż stawy trzeszczą. Jest ich ośm sztuk. Idą sznurkiem, jeden za drugim. Wyszły na flankę — strzały tam się sypią. Huczki dochodzą do linji.

Obława skończona. Nie słyszę rogów, lecz biegnę zobaczyć ofiarę mej kuli. Leży w kałuży krwi na śniegu, strzał dobry na komorę, stąd ten nagły upadek. Niestety, to nie odyniec — to tylko locha potężnych rozmiarów.

Myśliwi się zbierają. Sto opowiadań, drobnych targów o inne sztuki ubite, pomiar ran, spory o kierunek strzałów. Rogi grają na psy przeciągle, odwołują je z dalekich ostępów, chłopcy z obławy łamią brzózki i sporządzają dźwignie na ciężkie sztuki. Sześć ich padło w tym miocie.

Zbieramy się przy ognisku roznieconem z całego sąga drzewa, tak, że pióropusz dymu idzie wysoko aż nad las. Podają bigos, wódkę, gwar, hałas, okrzyki.

Za chwilę sanie powiozą nas o 10 wiorst dalej, do innego ostępu, dokąd huk strzałów, ni ujadanie psów nie doszło, i znów w ciszy, w milczeniu stać wypadnie pod drzewem długie minuty, zanim obława nie obejmie szerokiego koła, a psy w środek puszczone na ślad dzika się nie narwią i ujadaniem nie dadzą hasła do rozpoczęcia obławy.

I znów cała burza wrażeń będzie sercem myśliwego targać: nadzieja, zawód, zazdrość, naprężenie, zniechęcenie i oczekiwanie, potem jedna decydująca minuta spotkania, strzał — i jeśli ręka nie zadrży, a broń dobra — zły, czarny potwór znów będzie się tarzał we własnej krwi na śniegu.

Płk. ST. ROSTWOROWSKI.

WSPOMNIENIE.

Przepyszny puszczy trubadurze!...
widzę cię w krasie nowej wiosny,
jak silny, dumny i radosny
poczynasz grać swój hymn miłosny...
na sośnie twej królewskiej — w górze!

Porywa mię twój śpiew miłosny
i w piersi mojej radość budzi
i jestem najszczęśliwszym z ludzi
u stóp zaczarowanej sosny...

— Oto „klapanie", — „korek". — Skaczę!...
Z drgań tonów takt się nóg układa —
Odbiegły troski i rozpacze —
Myśliwska roskosz sercem włada...

Świt już rozjaśnia nocne mroki —
lękam się, że mię ujrzysz zgóry
i wypatruję twe kontury —
i ważę me ostatnie skoki...

Jeszcze pieśń jedna — Już dojrzałem,
gdy poruszyłeś dumnie głową —
I oto drżę bezwolnie ciałem,
I broń do strzału mam gotową...

Znów „szlifowanie" — Tyś na celu...
Chwila... sekunda... I strzał bucha...
Runąłeś z hukiem Puszcza słucha...
Żegnaj! — mych tęsknot przyjacielu...

WŁADYSŁAW TOPÓR - ZABIEŁŁO.

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

STARANNY PRZEWÓZ ZWIERZYNY.

„Deutsche Jaeger-Zeitung" zamieściła obszerną pracę o staranności wymaganej przy przewożeniu zwierzyny. Z artukułu tego przytaczamy szereg wskazówek zasadniczych.

Nie ulega wątpliwości, że zwierzyna traci znaczną część wartości przez nieumiejętne przewożenie i obchodzenie się przed transportem. Przyczynia się to może po części także do tego, że wiele osób niechętnie spożywa dziczyznę i skutkiem tego niedbalstwa handlujący płacą także za nią mniej, niż powinni. A przeto obowiązkiem prawidłowego myśliwego jest dbać o odpowiednie obchodzenie się z ubitą zwierzyną, o właściwe opakowanie i należyte transportowanie.

Największej staranności wymaga ubite ptactwo. Na noc należy wieszać każdą sztukę osobno w chłodnem pomieszczeniu, mającem też przewiew pożądany. Ptaki ubite kłaść należy przed transportem do kosza, którego dno winno być wyścielane słomą.

Gdy się go przesyła koleją, to najlepiej, jako paczka pocztowa i przesyłka pośpieszna. Na kolej odsyłać należy nie zbyt długo przed odejściem pociągu, żeby kosz nie leżał w magazynie kolejowym i nie zagrzewał się śród licznych pakunków. Kosz powinien być gęsto pleciony, żeby muchy się nie przedostawały przez otworki. Gdy ptak był dobrze wychłodzony i starannie wypatroszony, to można go w takiem opakowaniu wysłać nawet w bardzo daleką drogę. Ptaka silnie zestrzelanego myśliwy powinien zachować dla własnego użytku miejscowego; do wysyłki taka sztuka się nie nadaje. Nie należy jej posyłać zwłaszcza razem z innemi sztukami, które mogą przez nią uledz zepsuciu. Gdy jednak zachodzi potrzeba wysłania takiej sztuki razem z innemi, to należy ją szczelnie owinąć w czysty papier.

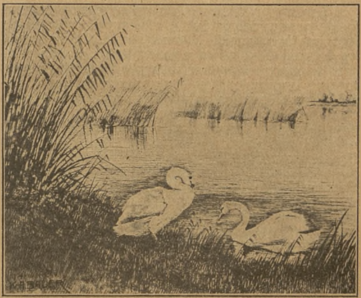
Co się tyczy zajęcy, to transport tychże przypada na zimną porę. Mimo to należy uważać, aby w czasie opadów deszczowych transport nie ucierpiał od wilgoci. Należy też pamiętać, żeby zając był zupełnie chłodny przy pakowaniu i żeby przez zbytnie nagromadzenie większej ilości tej zwierzyny w ciasnem miejscu przy dłużej trwającej podróży zające się nie zagrzały. Szczególnego ochłodzenia wymagają zające wysyłane bez wypatroszenia. Najodpowiedniejszem pomieszczeniem dla nich są potem hale targowe, przewiewne i chroniące od deszczu.



Z hodowli srebrnych lisów.

O ile można uzyskać specjalny wagon do przewozu zajęcy, to należy je w nim porozwieszać oddzielnie na żerdziach. Gdy tak nie można, to dobrze jest przesyłać zające także w koszach, których dno wyściela się słomą. Kosze takie powinny być wąskie i długie, żeby w każdym zmieściły się tylko trzy sztuki. Zestrzelane i zanieczyszczone zające należy sprzedawać na miejscu bez wysyłki.

Przy wysyłkach sarn należy szczególnie baczną uwagę zwracać na kozły w porze letniej. Powinno się też tak strzelać, żeby kozioł padł odrazu, a nie męczył się długo, bo powolne konanie źle wpływa na jakość dziczyzny. Następnie trzeba bardzo starannie wypatroszyć zabitą sztukę.



Dzikie łabędzie.

Chłodzenie musi trwać conajmniej 10 godzin, w czasie których sarna wisi na przewiewnem miejscu. Dopiero po upływie tego czasu można się zająć transportowaniem. Uda zwierzyna powinna mieć stale rozdzielone, żeby cała krew z wnętrzności wyciekała i żeby powietrze miało do nich przystęp. W tym celu kładzie się między uda kawał drewna. Grube sztuki powinny dłużej wisieć, niż małe.

Przy transportowaniu należy sztukę tak opakować, żeby ją ochronić od much. Z tego powodu lepiej jest używać kosza wierzbowego, niż worka. Nietylko bowiem zwierzyna ma przez to wygląd apetyczniejszy, lecz kosz chroni ją od zanieczyszczenia zwłaszcza płynami w zetknięciu z innemi paczkami w wagonie kolejowym, gdzie nie brak i ryb w wodzie, różnych chemikalij i naczyń z olejami.

Przed wysyłką należy zbadać, czy sztuka znajduje się w takim stanie, że przetrzyma podróż bez zepsucia.

Przy wysyłce jeleni, danieli i dzików należy szczególnie pamiętać o wkładaniu grubych pałek drewnianych między uda, żeby powietrze dostawało się bez przeszkody do okolic brzucha. Przez to także sztuka utrzymuje się w stanie ochłodzonym.

Szybkie wypatroszenie po zabiciu jest koniecznym warunkiem porządnej wysyłki. O zimnej porze trzeba uważać, żeby zewnętrzna powłoka nie zastygła, a nawet zamarzła, gdy wewnątrz są jeszcze ciepłe bebechy. Przez to bowiem utrudnione jest wewnętrzne ochłodzenie i ulotnienie się gazów, a to przyczynia się do tem prędszego zepsucia się dziczyzny.

Należyte postępowanie w tych razach pozbawia prędko dziczyznę wiatru, który tak niemiły jest przy spożywaniu, wskutek czego wiele osób unika wogóle używania dziczyzny.

J. O.



Z CENTR. ZWIĄZKU POLSK. STOW. ŁOW.

Posiedzenie Wydziału Wykonawczego w dn. 26 marca 1928 r.

Sprawy projektowanych zmian statutu i okólnika do panów delegatów powiatowych referuje pan mecenas Garczyński. Zmiany statutu Centr. Związku dotyczą zasadnicze wprowadzenia w nim paragrafów omawiających organizację delegatów powiatowych oraz członków honorowych Centrali. Pozatem projektowane są zmiany poszczególnych artykułów, dotyczących praw członków, delegatów powiatowych i organizacji władz Związku, oraz redakcji niektórych postanowień obecnego statutu. Proponowane zmiany Wydział w zasadzie akceptuje, wyłaniając jednocześnie komisję z pp. Lilpopa, Garczyńskiego i osoby przez nich kooptowanej w celu opracowania brzmienia odnośnych paragrafów i przedstawienia na następne zebranie Wydziału ostatecznego projektu zmienionego statutu.

Zaprojektowany okólnik do delegatów powiatowych Wydział akceptuje, polecając go rozesłać. Okólnik zawiera wskazówki dla delegatów, w jakim kierunku winni wytężyć swą pracę w związku z postanowieniami prawa łowieckiego.

Wydział poleca zamieścić w „Łowcu Polskim" odezwę do ogółu myśliwych o zgłaszanie kandydatów na delegatów w powiatach dotychczas nieobsadzonych. Spis tych powiatów podajemy poniżej.

List T-wa Praw. Polowania „Diana" w Zawierciu, dotyczący sporządzania kontraktów na obwody łowieckie wspólne, Wydział uchwalił przesłać do referatu łowieckiego Min. Rolnictwa. Po otrzymaniu wyjaśnień Wydział udzieli T-wu „Diana" odnośnej odpowiedzi.

Mecenas Garczyński informuje Wydział, że Min. Spr. Wewnętrznych załatwiło odmownie rekurs na wymierzony przez Magistrat Warszawy podatek luksusowy od posiadania broni myśliwskiej. Wobec tego mecenas Garczyński odniesi się z odwołaniem do Najwyższego Trybunału Administracyjnego. W ten sposób sprawa wchodzi w ostatnią fazę. Skarga do Najw. Tryb. Administracyjnego będzie pomieszczona w „Łowcu Polskim".

SPROSTOWANIE.

Delegatem powiatowym na pow. Wołożyński — jest p. Mieczysław Wołczacki, a nie Wołtawski, jak to mylnie podawaliśmy.

O NOWYCH DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Wydział Wykonawczy zwraca się tą drogą do wszystkich Swych Członków i Panów Myśliwych o łaskawe okazanie pomocy w obsadzeniu delegatami Centrali powiatów, w których dotychczas Związek nie posiada swych przedstawicieli.

Sprawa jest niezmiernie dla łowiectwa prawidłowego ważna, a w związku z niektóremi postanowieniami prawa łowieckiego (karty łowieckie, zgłaszanie obwodów, prześladowanie kłusownictwa i. t.p.) wymaga szybkiego załatwienia.

Wydział prosi o nadsyłanie nazwisk i adresów kandydatów, z podaniem powiatu ich działania, do Sekretarjatu Centralnego Związku (Warszawa, Nowy-Świat 35).

Przypominamy, że delegatem powiatowym może być każdy, nawet niestowarzyszony myśliwy, którego działalność na polu łowieckiem jest stwierdzona.

Dla uzdrowienia stosunków łowieckich w Polsce, organizacja delegatów powiatowych Centrali ma ogromne znaczenie.

Wydział Wykonawczy dąży do objęcia siecią delegatów całej Rzeczypospolitej.

Wszyscy, którym zależy na rozkwicie naszego łowiectwa, winni akcję Centrali poprzeć. Jest to ich obowiązkiem.

Dotychczas nie są obsadzone następujące powiaty:

WOJ. BIAŁOSTOCKIE:
Augustowski
Kolneński
Łomżyński
Ostrołęcki
Ostrowski
Sokólski
Suwalski
Szczuczyński
Wołkowyski

WOJ. KIELECKIE:
Częstochowski
Iłżecki
Jędrzejowski
Kieleoki
Kozienicki
Miechowski
Opatowski
Radomski
Sandomierski
Stopnicki

WOJ: LUBELSKIE:
Biłgorajski
Chełmski
Janowski
Konstantynowski
Krasnostawski
Lubartowski
Węgrowski

WOJ. ŁÓDZKIE:
Brzeziński
Łaski
Koniński
Piotrkowski
Słupecki
Turecki
Wieluński

W. NOWOGRÓDZKIE:
Stołpecki

WOJ. POLESKIE:
Drohiczyński
Kamień Koszyrski
Kobryński
Prużański
Sarneński

W. WARSZAWSKIE:
Ciechanowski
Lipnowski
Makowski
Mińsko-Mazowiecki
Płoński
Przasnyski
Rawski Mazow.
Sierpecki
Skierniewicki

WOJ. WILEŃSKIE:
Brasławski
Dziśnieński
Mołodeczański
Oszmiański
Święciański
Wilejski
Wilejsko Trocki

WOJ. WOŁYŃSKIE:
Horochowski
Kostopolski
Krzemieniecki
Lubomelski
Włodzimierski



Nowe przepisy kolejowe. — Ministerstwo Komunikacji wydało nowe przepisy w sprawach przewozu zwierząt na kolejach państwowych. Między innemi dowiadujemy się, że surowo jest zakazane przewożenie zwierząt w wagonach osobowych,

z wyjątkiem małych piesków i ptaków pokojowych. Psy duże, a więc wszystkie używane powszechnie do polowań, oraz inne zwierzęta, mają być jedynie oddawane na bagaż w koszach lub klatkach za specjalną taryfą. Zakaz przewozu broni palnej nie dotyczy jedynie myśliwych, oraz podróżnych, pełniących służbę publiczną. Nieporozumienia między służbą kolejową a podróżującymi reguluje w czasie postoju zawiadowca stacji, w czasie zaś ruchu— kierownik pociągu. Wreszcie dla informacji posiadaczy psów dodać należy, że w myśl wspomnianych przepisów, bilety peronowe należy zakupywać także dla wprowadzanych psów.

ZAWODY STRZELECKIE.

Zawody im. marsz. Piłsudskiego. — Dn. 18 marca, w niedzielę, odbyły się w Warszawie zawody strzeleckie im. Marszałka Piłsudskiego na strzelnicy Związku Strzeleckiego. W strzelaniu zespołowem na 50 mtr. zwyciężył Sportowy Klub Strzelecki w Warszawie, zdobywając 437 punktów na 500 możliwych. Z zespołów kobiecych zajęły pierwsze miejsce strzelczynie z oddziału „Kresy", zdobywając 353 punkty.

W strzelaniu indywidualnem pierwsze miejsce zajął p. Golański, zdobywając 58 punktów na 60 możliwych. Z kobiet pierwsze miejsce zajęła p. Kopiecówna (Strzelec „Wola"), zdobywając 15 punktów. Pozatem w strzelaniu zespołowem (inna konkurencja) pierwsze miejsce zajął Związek Harcerstwa Polskiego, zdobywając 59 punktów na 90 możliwych.

Kobiecy Klub Strzelecki. — Sport strzelecki był do niedawna wyłączną niemal dziedziną popisu mężczyzn. Niewiasty spotkać można było ze sztucerkiem w ręku tylko na polowaniach i to nie we wszystkich krajach. Pierwszy klub, w którym kobiety wszechstronnie ćwiczą się w strzelaniu (włącznie do pistoletów pojedynkowych i rewolwerów!) założony został w Paryżu przy udziale znanej firmy Gastine-Renette. Klub ten nosi nazwę „Revolver-Club".



KRONIKA MYŚLIWSKA.

—o— Krakowskie Towarzystwo Myśliwskie im. św. Huberta, posiadające tereny powierzchni około 5.000 ha, urządziło w ubiegłym sezonie 11 polowań zbiorowych, oraz 2 na lisy i bażanty. Pozatem w ubiegłym miesiącu odbyło się polowanie na dziki i lisy. Na tych polowaniach padło: 1 dzik, 3 rogacze na podchodnem kulą, 4 lisy, 263 zające, 14 bażantów, 153 kuropatwy, 4 przepiórki, 2 słonki, 208 kaczek, 19 kszyków, 2 nurki, 5 kurek wodnych, 6 chruścieli i 32 szkodniki. Straż leśna zabiła pozatem 4 lisy, 1 tchórza, 1 borsuka, 32 łasice, 10 psów, 19 kotów, 12 jastrzębi, 17 srok, 25 wron i wyjęła z gniazd 3 jaja srocze i 9 jastrzębich.

—o— W lasach dóbr Pieniaki p. Stanisława Cieńskiego, w pow. Lwowskim, dn. 11 i 12.I w 9 strzelb padło 11 dzików.

—o— W lasach Bukowna p. Witolda Cieńskiego nad Dniestrem, dn. 15.I w 4 strzelby padło 10 dzików, z czego pp. Roman hr. Bielski i Stan. Cieński zrobili tryplety, dr. Roman Stroynowski zabił 3 dziki, a p. Ludomir Cieński — jednego.

—o— W Gościeszynie hr. Kurnatowskiego w Wielkopolsce, w październiku w 3 strzelby padło: 30 zajęcy, 6 kuropatw i lis.

—o— W Horyńcu p. Karłowskiego, pod Niemirowem, dn. 26.XI padło 3 dziki i 7 zajęcy.

—o— W lasach pani Orsetti, pod Zamościem, dn. 6.XII wzięto 13 miotów i dano 121 strzałów. Padło: 32 zające, kozioł, lis i jastrząb.

—o— W Starzyskach p. E. Zawidowskiego w Małopolsce, dn. 10, 11 i 12.I na 101 strzałów, przeważnie kulami, padło 13 dzików, 6 kozłów i 28 zajęcy.

—o— Towarzystwo św. Huberta w Stanisławowie Małopolskim, urządziło w ubiegłym sezonie polowania w d. 12, 22 i 30.XI; 3, 7, 14, 23 i 30.XII; 4, 11, 17 i 25.I. w kilkanaście strzelb. Padło 275 zajęcy, 5 lisów, 1 rogacz i 1 kuropatwa.

—o— Towarzystwo Myśliwych w Stanisławowie Małopolskim urządziło w ubiegłym sezonie polowania w d. 8, 14, 15 i 29.X; 5 i 18.XI; 1, 17, 24, 26, 28 i 30.XII; 12 i 28.I. Strzelb od 11 do 22. Padło 528 zajęcy, żbik, 2 dziki, 14 rogaczy, koza, 5 lisów, 3 kuropatwy, słonka, 5 sokołów i 3 kaczki.



Przeloty ptaków. — W Warszawie słyszano poraz pierwszy zięby śpiewające w dn. 28 marca. Do pierwszej słonki pod Warszawą strzelano w dn. 30 marca.

Preparator Polskiego Muzeum Zoologicznego, p. Edward Sapiński, udał się na Hel około 20 marca w celu zdobycia niektórych ptaków przelotnych do zbiorów Muzeum. Przeloty w tym roku były naogół słabe. Gęsi widocznie przeciągnęły już, gdyż nasz obserwator nie widział ich ani razu. Z kaczek spotkał tylko raz stadko gągołów (Clangula clangula), oraz dwa stadka alk (Alca torda?). Dn. 23 i 24 marca ciągnęły masowo i intensywnie czajki i brodźce (Totanus totanus), lecące w kierunku północno-wschodnim. Szpaki oraz oba gatunki skowronków (polny i leśny) ciągnęły na wschód — w stronę Królewca. W dn. 24 marca widział p. Sapiński szybujące kosmacze północne (Archibuteo lagopus), a dnia następnego już ich nie spotkał, co obserwator nasz przypisywał silnemu i zimnemu wiatrowi. W tym też czasie ciągnęły ogromne masy wron, gawronów i kawek ku północo-wschodowi. Dn. 27-go marca nadciągnęły zięby bardzo zmęczone i zgłodniałe. Dn. 29 widział p. Sapiński rozproszone stadko kwiczołów, lecące tuż nad wodą w prostej linji na Królewiec, a poprzedniego dnia parę orłów zysów (Aquila chrysaetus), krążącą nad Helem. Na tem ograniczyły się obserwacje p. Sapińskiego.

Warszawski Zwierzyniec miejski. — Na posiedzeniu zarządu ogrodu zoologicznego na wniosek przedstawicieli kół profesorskich postanowiono dla orjentacji publiczności, zamiast umieszczania małomówiących nazw okazów, przygotować specjalne tablice z rysunkami zwierząt, znajdujących się w zbiorze. W ten sposób publiczność będzie mogła wśród np. ptactwa lub innych stworzeń zbieranych grupowo w klatkach, zorjentować się co do każdego okazu. Pod każdym rysunkiem będzie wyszczególniona charakterystyka okazu i popularnie i krótko nakreślone cechy tego okazu. Inowacja ta jest oryginalna, gdyż, jak się zdaje, nigdzie jeszcze nie jest wprowadzona.

Postanowiono na razie nie przyjmować ofert od osób prywatnych, które chciałyby zaofiarować zwie-

rzęta dla ogrodu, dopóki nie będą wykończone pomieszczenia. Prowadzi się też korespondencję w sprawie zakupu egzemplarza dorosłego lwa; cena takiego lwa sięga 2 — 3 tys. marek niemieckich.

Oswojone zwierzęta w Warszawie. — Warszawiacy obdarzają swym sentymentem nietylko psy, lecz także i inne zwierzęta. Zarejestrowano przypadki hodowania oswojonych gęsi, które wychodzą na przechadzkę z właścicielami. Pewna obywatelka wychowuje małego aligatora. Damy z towarzystwa hodują lisy, a nawet wilki. Ze zwierząt egzotycznych, pewien pan, zamieszkały w Al. Ujazdowskich, sprowadził do mieszkania małą panterę.

Zwierzyniec w Krakowie. — Zarząd miasta Krakowa powziął plan stworzenia na obszarze miejskiego parku leśnego na Woli Justowskiej, mierzącym 600 morgów, małego zwierzyńca, na początku raczej ptaszyńca, z hodowlą i dokarmianiem ptaków pożytecznych i śpiewających. W tym celu sprowadzono sztuczne gniazda dziuplowe systemu ornitologa bar. Berlepscha oraz założono na 3-morgowym obszarze bażantarnię. Obecnie przystępuje się już do rozszerzenia tego rodzaju ogrodu dalszymi okazami ptaków oraz czworonogów, żyjących w kraju, a zarząd lasu już dysponuje kilkunastoma okazami.

Malarz — myśliwy. — W Poznaniu odbyło się dn. 18 marca r. b. otwarcie wystawy obrazów artysty-malarza p. Aleksndra Laszenki. Wystawę pod nazwą „Egipt" urządzono w sali błękitnej „Apollo" przy ul. Piekary Nr. 17. P. Laszenko jest znanym podróżnikiem — orjentalistą i myśliwym. Jeden z obrazów stanowi autoportret malarza w ordynku myśliwskim podczas polowania w Atryce Centraln.

Wystawa Łowiecka. — Przy Małopolskiem Towarzystwie Łowieckiem powstał Komitet urządzający dział Małopolski na wystawie łowieckiej w roku 1929 w Poznaniu. Trofea z Małopolski przyjmowane będą przez ten Komitet do dnia 15 maja r. b. jedynie.

Zamarznięte bociany. — Na łąkach nad Bystrzycą pod Stanisławowem, znaleziono dn. 21 marca 2 bociany, które zginęły wskutek mrozów.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO.

„Le Messager Polonais" w Nr. 47 i 48 z dn. 27 i 28 lutego r. b. zamieścił w odcinkach pracę członka Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego", p. pułk. Adama hr. Rzewuskiego p. t. „Polowanie na wilki w Polsce" („La chasse aux loups en Pologne"). Autor cofa się do plagi wilczej w r. 1875 na Ukrainie w okolicach Skwiny i Berdyczowa, a w końcu wspomina o polowaniach współczesnych u ks. Radziwiłłów w Nieświeżu i Dawidgródku oraz — Tow. Poleskiego.

Tenże autor wydrukował w „Rodzinie Polskiej" (Nr. 3 za marzec r. b.) „Z sezonowych przeżyć myśliwskich. — Przedwiośnie".

— W 3 numerach „Kurjera Warszawskiego" (66, 68 i 71) znany autor i świetny stylista, p. Zdzisław Kleszczyński zamieścił feljetony p. t. „Rysie". Treść główna zawiera następujące momenty: „Zaproszenie na polowanie — w Wilnie — w Mołodecznie — do Wilejki — noc przed polowaniem — sen o rysiach — łowiecka narada — w lesie — trąbka zagrała — młoda wilczyca — tropy rysie — na stanowisku — modlitwa do św. Huberta — dwa rysie — comber z rysia".

— P. Aleksander Janta-Połczyński zamieścił w „Kurjerze Poznańskim" (Nr. 136 z d. 22 marca r. b.) artykuł p. t. „Nowy rok „Łowca Polskiego". W artykule tym czytamy między innemi: „Ozdobny numer 11 z d. 17 marca przedstawia się jak na nasze warunki okazale; piękna okładka (głuszec Sichulskiego), treść zajmująca i liczne fotografje składają się na całość, która powinna zachęcić nawet wymagającego czytelnika. Najciekawszy niewątpliwie jest Ejsmonda fragment z monografji bobra, zachętą dla odpowiednich czynników powinien być artykuł Rzewuskiego, traktujący o znaczeniu i zastosowaniu kina w łowiectwie. Dużą wartość praktyczną mają uwagi Słonczyńskiego na temat broni myśliwskiej w artykule p. t. „W martwym sezonie". Reasumując, stwierdzić należy, że w „Łowcu Polskim" nowy rok zaznaczył się rzetelnym wysiłkiem ku podniesieniu poziomu pisma w każdym kierunku. Za bardzo pożyteczne uważam wprowadzenie przeglądu prasy zagranicznej i bibljografji łowieckiej. Mamy prawo przypuszczać, że wysiłek ten uwieńczą jaknajpomyślniejsze rezultaty, bo już w dzisiejszym stanie „Łowiec Polski" ma obowiązek liczyć na poparcie i zainteresowanie wszystkich myśliwych. Abonament nie jest drogi: (8 zł. kwartalnie za tygodnik!), a dobra wola licznych prenumeratorów zapewnić może pismu trwałe zadawalający poziom".

— W ostatnich 3 (4, 5, 6) numerach „Łowca" lwowskiego mieszczą się następujące prace:

„Pół wieku!" Seweryna Krogulskiego. — „Łoś w Prusach Wschodnich" Alberta Mniszka. — „Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych" Antoniego Pisulińskiego. — „Żmija, jej życie i obyczaje" Władysława Czerniejewskiego. — „Kronika stara, podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało..." Mistrza-Rotmistrza. — „Notatki bibljograficzne" W. Z. — Korespondencje: Mańkiewicze, Łukawica, Skała, Lwów, Rożyska, Busk, Łowcza.

„Sumatra jako teren myśliwski" A. M. — „Dalszych kilka uwag w sprawie obecnej amunicji śrutowej". A. Przedrzymirskiego. — Korespondencje: Rzeszów, Pikułowice, Wojsławice, Chodorów, Przemyśl, Bolanowice, Kraków, Liszkowce.

„Literacka spuścizna Józefa hr. Potockiego" Witolda Ziembickiego. — „Koziorożec Alpejski" Alberta Mniszka. — „Do artykułu p. A. Przedrzymirskiego" Red. — „Sposób oceniania wieńców jeleni" A. M. — „Bielak na Podolu" Jana Narkiewicza Jodki. — Korespondencja: Kraków, Gródek Jagielloński, Lisko, Sambor, Biała-Bielsko.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Bleszyński, Wł. Czerniejewski, J. Ejsmond, W. Garczyński, J. Gieysztor, Wł. Janta-Połczyński, W. Kiltynowicz, H. Knothe, red. St. Krzywoszewski, St. Lilpop, pr. dr. E. Niezabitowski, F. Rożyński, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, J. Sztolcman, Fr. Unrug i dr. St. Zaborowski.

Redaktorzy: **Jan Sztolcman i Juljan Ejsmond.** Wydawca: **Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich.**